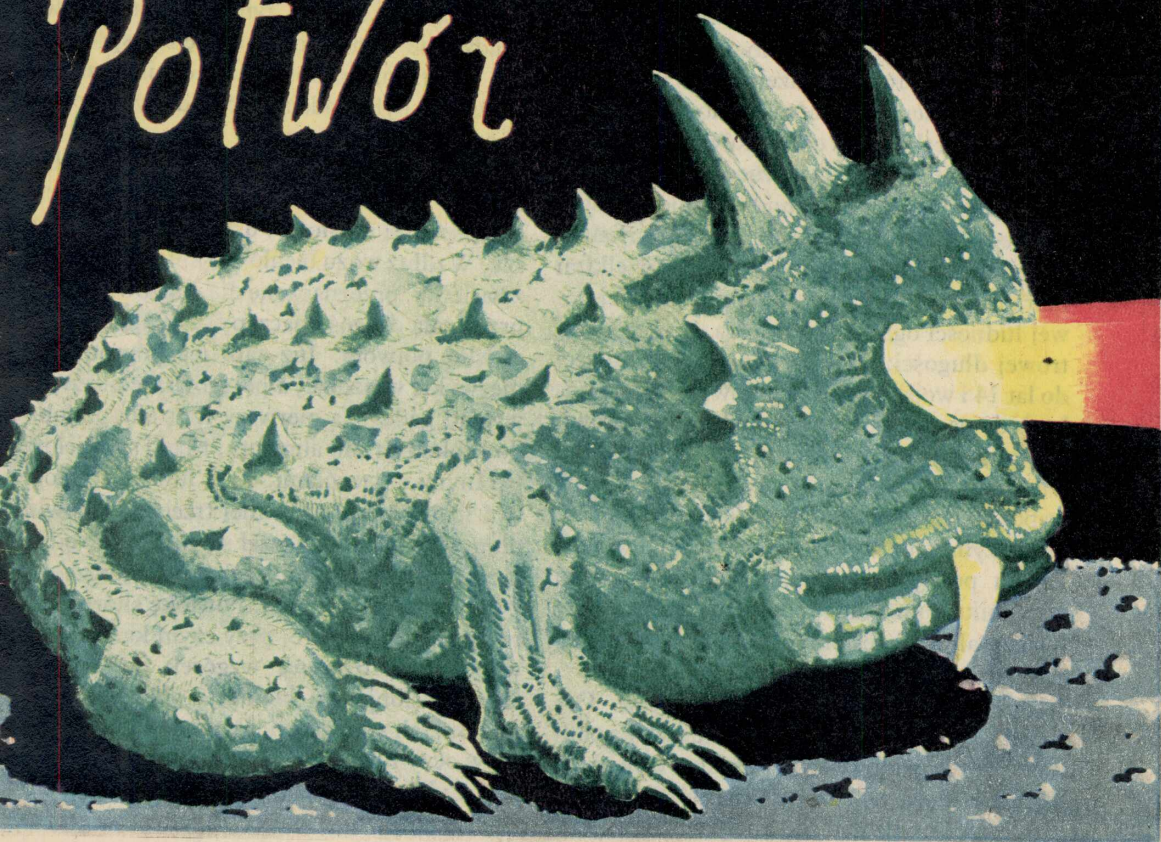


Potwór



Napisal: Stefan Weinfeld

Ilustrowal: Cyprjan Kościelniak

– Te, Rudy, dokąd pędzisz?

Dwunastoletni może wyrostek o ognistej fryzurze zwolnił nieco i, odkrzyknawszy: „Cyrk przyjechał!”, nacisnął pedały roweru, aż zaskrzypiało. Pytający, wysoki, smagły brunecik, o nieproporcjonalnie długich kończynach dojrzewającego nastolatka, gwizdnął głośno na palcach i zawołał:

– Chłopaki, cyrk przyjechał!

Jeśli do miasteczek takich jak Carrizozo przyjeżdża cyrk, to z pewnością nie jest to cyrk Barnuma: dla tych kilkunastu setek mieszkańców, wliczając w to starców i małe dzieci, nie warto byłoby się zatrzymywać. Carrizozo niknie w cieniu innych sąsiednich miejscowości południowo-wschodniej części Nowego Meksyku. Nie może się pochwalić legendą o Billym Kidzie, jak położony nieco dalej na wschód Lincoln. Daleko mu do atrakcyjności

bardziej na południe wysuniętego Alamogordo, wslawionego tym, że na pobliskiej pustyni przeprowadzono pierwszy wybuch atomowy. Nie ma ani opuszczonego indiańskiego puebla, jak znajdujący się na północy od niego Mountainair, ani nawet siedemnastowiecznego kościoła, jak leżące na zachód Socorro. Przeko i turyści rzadko się tu zatrzymują; przemykają w swych wielkich krążownikach szos, pozostawiając za sobą jedynie smród spalin zmieszany z wonią wielkiego świata. Z rzadka obozuje tu podrzędniejsza trupa cyrkowa lub niewielka menażeria, eksponująca zwierzęta tak stare i chore, że budzą swoim wyglądem tylko nieodparte uczucie litości.

Ale i te spektakle dostarczają niecodziennej rozrywki miejscowej ludności, a szczególnie jej najmłodszej części. Tradycyjne zabawy w traperów i Indian, w Billy Kida i Pata

Garretta, w policjantów i gangsterów ustępują miejsca na jakiś czas próbom żonglowania puszkami od piwa i chodzenia po linie.

Nic dziwnego, że na wiadomość o przyjeździe cyrku cała zgraja chłopaków popędziła na miejsce tradycyjnie już służące za obozowisko dla podobnych trup. Zamiast namiotu zastali tam jednak ciężarówkę z naczepą mieszkalną, opatrzoną wielkim szyldem. Napis wielkimi literami głosił, że oto udostępnia się miejscowej ludności oglądanie potwora dziesięciometrowej długości; wstęp jedynie dolara, dzieci do lat 14 i wojskowi płacą połowę. Przy schodkach do naczepy ustawiony był stolik – prowizoryczna kasa sprzedająca bilety. Do tej odpowiedzialnej czynności przygotowywał się współwłaściciel całego przedsięwzięcia Robert, czyli Rob Roggins, znany w pewnych kołach pod pseudonimem Kanciarz. Drugi wspólnik, Tom Bradey, popularnie zwany Bojusem albo Trzęsionką, stał na schodkach przy drzwiach.

Bob nie sprzedawał jeszcze biletów. Doświadczenie podpowiadało mu, że zwłoka podnosi prestiż widowiska i pobudza ciekawość klienteli. Poza tym te pęta, które otoczyły jego budę, na pewno nie miały ni centa; później dopiero wyproszą od rodziców trochę grosza na wstęp. Pierwszych poważnych gości mógł się spodziewać późnym popołudniem; tak było w Payson, w Show Low, w Springerville, w Soccoro, tak zapewne będzie i tutaj.

Opodal zatrzymał się wóz policyjny. Sierżant, nie spiesząc się, wylażł ze środka i doszedł do naczepy. „Znów się zaczyna” – pomyślał Roggins. – „Trzęsionka pewnie umiera ze strachu”. Ale i on odczuł, jak za każdym razem, moment napięcia. Papiery miał w porządku, pozwolenie na wystawianie swojego zwierzaka w całym stanie jak się patrzy, nie czuł się wszakże tak całkiem niewinny. Legitymując się przed policjantem starał się jednak utrzymać nerwy na wodzy, sprawiać wrażenie zadowolonego z siebie, jowialnego szefa objazdowego widowiska.

– Może zechce pan sprawdzić, czy rzeczywiście pokazuję to, na co opiewa zezwolenie? – zapytał. To był stary i niezawodny chwyt. Dolar nie majątek, ale skoro można go było

zaoszczędzić... poza tym przedstawicielowi władzy nie wypadało pchać się z pospółstwem dla obojętności; co innego, jeśli można to było podciągnąć pod wykonywanie obowiązków służbowych.

Weszli po schodkach do naczepy. Nie było tu nic z jej pierwotnego wyposażenia. Wyrzucano ścianki działowe, usunięto wszelkie meble. Wzdłuż wozu biegło wąskie podwyższenie z barierką, przeznaczone dla widzów. Poniżej, przez całą długość naczepy, rozciągnięte było cielsko potwora. Już sam jego ogrom robił niezwykle wrażenie, a potęgował je niezwykle wygląd gada. Na pierwszy rzut oka podobny do krokodyla lub aligatora, różnił się wieloma istotnymi szczegółami. Łeb, lub to, co mogło być łbem, sięgał aż jednej trzeciej całkowitej długości ciała i odznaczał się niezwykle odstającymi, trójkątnymi zębami, sterczącymi z przymkniętego pyska. Powłokę skórną tworzyły tarczki rogowe, przy czym każda z nich wyposażona była we wzgórek podobny do ślepia zasłoniętego błoniastą powieką. Ogon miał kształt spłaszczonej kuli; ponadto rzucały się w oczy tylne pary łap.

– Żyje? – zapytał sierżant.

– Skądże, to mumia, zupełnie niegroźna.

Poza tym niech pan sam spojrzy: spreparowana tak, że szczęki są sklezione, nie da się ich otworzyć, nawet patyka się w nie nie wsunie.

Policjant pochylił się ostrożnie nad łbem.

– Rzeczywiście – powiedział. – Ale potwór! Do czegoś takiego strach byłoby się zbliżyć. Jak pan go zdobył? Upolował go pan czy kupił?

Roggins uśmiechnął się tajemniczo i położył palec na ustach:

– Cyt! – szepnął, jak gdyby ich ktoś podsłuchiwał. – Tajemnica zawodowa, rozumie pan? Konkurencja nie śpi!

Policjant pokiwał głową potakująco, a Bob teraz dopiero odetchnął z ulgą. W istocie miałby poważne trudności, gdyby musiał się wytłumaczyć z faktu posiadania potwora. Z kilku wersji, które sobie na tę okoliczność przygotował – że kupił go w spotkanej przejazdem menażerii, że znalazł go we własnym ogrodzie, że wyłowił z morza – żadna nie odpowiadała prawdzie. W rzeczywistości był

to podarunek, który sprawiła mu Kalifornia, odzierając go wcześniej z prawie wszystkiego, co miał. Niewielka trupa liliputów, z jaką przyjechał ze stanu Utah, nie odniosła sukcesów i rozpadła się. Przyjął do spółki Toma, tresera szczurów – ale i jego widowisko zrobiło kłapę. Zadłużeni, ścigani przez wierzycieli, musieli w końcu uciekać. Nie opodał Needles, tuż przy granicy stanów, nawaliła im guma. Podczas przymusowego postoju o zmroku zauważyli podłużny, ciemny kształt na poboczu. Zaciekawiony Tom podszedł bliżej – i uciekł z krzykiem. Nigdy nie należał do zbyt odważnych! Szczerze mówiąc i Bob również poczuł żołądek w gardle, gdy rozpoznał, co też to ów kształt sobą przedstawia. Uznał, że rozsądniej będzie, gdy przyjrzy się temu z wysokości szoferki, z zapuszczonym silnikiem. Podjechali bliżej. Gad ani się ruszył. Rzucali w niego kamieniami i grudkami ziemi – gad się nie poruszał. Po wielu podobnych zabiegach orzekli wreszcie, że zwierzę albo jest wypchane, albo sztuczne; w każdym razie nie żyje i nie ma się go czego obawiać. Doszli do wniosku, że jest to najprawdopodobniej eksponat reklamujący głośny Disneyland lub może jakąś jego miejscową filię.

„Kanciarz” spojrział w zamyśleniu na swojego współnika:

– Wiesz co? – powiedział. – Podobno pieniądze leżą na ulicy. Dłaczegóż by nie miały leżeć obok szosy? Może byśmy się tak potrudzili?

– Chcesz go zabrać? A po co?

– Człowieku, toż to czysta forsą! Lepsze do pokazywania, jak kobieta z brodą i żywa głowa na talerzu!

– Śpieszysz się do pudła? Przecież nakryją z tym nas jak dwa razy dwa cztery, gad nie zwitek pięciodolarówek, do których każdy może się przyznać.

– Idioto, co porzucone, to bezpańskie! Zre-sztą zaraz będziemy w Arizonie. Bierz od ogona, bo jak cię zamaluję...

Nie wiadomo, który z tych argumentów trafił Tomowi do przekonania, ale w końcu Bradey dopomógł współnikowi – z dużym trudem, trzeba powiedzieć – załadować potwora do naczepy mieszkalnej. Tuż za granicą

stanu przystosowali ją do nowych zadań – objazdowego salonu ekspozycyjnego. I tak się zaczęło, przez Arizonę, teraz Nowy Meksyk. małe miasteczka, w których mogli liczyć na publiczność... i na to, że nikt nie zakwestionuje ich prawa do posiadania osobliwego zwierza. Co prawda, takim właśnie kłopotem mogło się zakończyć każde spotkanie z policjantem, ale wiedzieli, a zwłaszcza Bob Roggins wiedział, jak z nimi postępować.

– Niech pan przyprowadzi tu swojego małego – powiedział do sierżanta – wpuszczę go bez biletu. Służba ciężka, a płaca podła, wiem coś o tym!

Nie zdarzyło mu się jeszcze, aby jakiś policjant odrzucił podobną propozycję. Wszyscy oni byli przekonani, że pracują właściwie honorowo, dla dobra społeczeństwa, które tego nie docenia; traktowali przeto świadczone im bezpłatne usługi jako należną im skromną rekompensatę. Roggins zaś do swojego gestu nie dokładał, a spodziewał się, że nagoni mu to klientelę.

Chociaż tu, w Carrizozo, nie zależało mu specjalnie na klienteli. Przyjechali do tego miasteczka głównie po to, aby pokazać swój eksponat jednemu jedynemu widzowi – mając nadzieję, że zechce go obejrzeć, choćby miało ich to kosztować stówę. Myśl o tym dojrzewiała stopniowo, a narodziła się trzeciej nocy po owym wieczorze, kiedy znaleźli potwora. Ponieważ ich naczepa mieszkalna służyła teraz innemu celowi, sypiali w obszernej szoferce. Tuż przed północą Tom Bradey raptownym szarpnięciem obudził swojego współnika.

– Bob, słyszysz? Jakieś dźwięki w naczepie!

– Idź do diabła!

– Naprawdę coś tam się dzieje!

– No, to sprawdź sam, a mnie daj spać.

Następnego dnia Bradey, błądy jak ściana, z podkrążonymi z niewyspania oczami, zrelacjonował Rogginsowi to, co zobaczył w naczepie.

– Zdawało ci się, Trzęsionka! – skwitował Bob. – Boisz się nawet własnego cienia.

– Ależ nie, prawda, jak Boga Kocham!

– No to chodź, popatrzmy razem.

– Cielsko potwora spoczywało tam, gdzie je umieścili. W świetle porannego słońca wdzie-

rającego się przez niewielkie okienka wyglądało nawet mniej groźnie niż zazwyczaj.

– Głowę zawracasz, Trzęsionka! – zawyrokował Roggins. Już następnej nocy przekonał się jednak, że jego kompan miał rację – i z wrażenia i strachu sam nie spał do rana. Poranek przyniósł opamiętanie. Na pytanie Toma: „Co powiesz, Bob?” Roggins wzruszył tylko ramionami:

– Nocne strachy, sugestia. Wmówiłeś w siebie i we mnie.

– Mówię ci, dajmy temu spokój. Namotały sobie co innego – zaproponował Bradey.

– Coś ty, przecież to żyła złota! – Rogginsowi wyraźnie żal było pozbywać się tak intratnego interesu. – Wiesz co? Znam takiego jednego... nazywają go profesorem.. wyrzucili go z Alamo gordo, pracuje teraz w Carrizzo...

I tak, w dzień jeżdżąc lub organizując pokazy, w nocy umierając ze strachu, dotarli w końcu do tego miasteczka. Tutaj też ludzie walili całymi rodzinami, aby obejrzeć potwora. Zanosiło się na to, że wspólna kasa wzbogaci się jeszcze o kilkaset doliczów.

O ósmej wieczorem zamknęli jednak budę i poszli do profesora. Pracował o pół mili za miastem w motelu „Na Rozdrożu”. Wysoki, chudy, z zarostem, w bawełnianej koszulce i dżinsach, stał za kontuarem, mieszając kotlety i nieustannie żując gumę.

– Cześć, Profesorze!

– Cześć, Kanciarzu. Co cię tu sprowadza?

– To mój wspólnik, Trzęsionka. Poznajcie się. Mógłbyś z nami trochę pogadać?

– Siadajcie przy stoliku w kącie. Będę miał chwilę czasu, to się do was przysiądę.

Zajęli miejsca.

– Sądysz, że on może się na tym znać? – zapytał z niedowierzaniem Tom.

– Jeśli nie on, to nikt inny. Całą technikę atomową ma w małym palcu. Gdyby miał dyplom, tkwiłby już gdzieś w NASA; a tak, to wyrzucili go, żeby ich nie kompromitował.

Profesor wyszedł zza kontuaru i przysunął sobie krzesło przy ich stoliku.

– O co chodzi? – zagadnął.

– Sprawa jest taka... – zaczął Roggins. Profesor słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

– Więc mówisz, że ta rzecz zawsze się dzieje o północy? – zapytał.

– Zaczyna się dokładnie na trzy minuty przed dwunastą.

– Świetnie, kończę tu o jedenastej. Będę u was kilka minut później.

Przyjechał do nich o wpół do dwunastej. Za dziesięć dwunasta weszli do naczepy. Bob zapalił światło.

– Ta...ak – stwierdził lakonicznie Profesor, przyjrzawszy się potworowi. – Robi wrażenie. Ale nic nadzwyczajnego się nie dzieje.

– Poczekaj jeszcze trochę – powiedział półgłosem Roggins.

Na trzy minuty przed północą rozległ się przeraźliwy dźwięk przypominający zgrzytanie noża o talerz. Jednocześnie cielsko potwora załśniło zielonkawą poświatą. Zgrzyt narastał. Jego intensywność stała się tak wielka, że powodowała ból w uszach. Zrogowaciała skóra nie łśniła już, lecz jaśniała olśniewającym, pulsującym blaskiem. Wydawało się, że lada chwila wewnątrz gada rozewrze się, aby wypuścić z siebie złowrogi, nieziemski, zdolny do zniszczenia wszystkiego seledynowy ogień.

Trzej mężczyźni odsunęli się, opierając się o ścianę naczepy. To było wszystko, na co ich było stać. Żaden z nich nie potrafił uczynić kilku kroków, jakie dzieliły ich od drzwi. Żaden nie mógł się ruszyć. Przypominali ptaki zahipnotyzowane wzrokiem węża, świadome czekającej ich zagłady i niezdolne do ucieczki. Nawet czas jak gdyby zatrzymał się w miejscu. Profesor nie umiał określić, czy niesamowite zjawisko trwa krótką chwilę, czy długie godziny.

Trwało zaś dokładnie cztery minuty i trzydzieści siedem sekund; w czwartej minucie i trzydziestej ósmej sekundzie raptownie ucichł dźwięk i zgasła poświata. Tom podniósł rękę do pokrytej potem twarzy. Bob szepnął półgłosem do Profesora:

– Co powiesz teraz...?

Profesor nie odpowiedział. Bez słowa wyskoczył z przyczepy i otworzył drzwiczki swojego forda. Obaj wspólnicy dopadli go w chwili, gdy już miał zamiar ruszyć.

– Co powiesz, Profesorze? – zapytał Rog-

gins, wpychając ekspertowi dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty.

– Zabieraj swoje brudne papierki i zwiewaj stąd natychmiast razem ze swoimi paskudztwem! – zażądał Profesor.

– Na miłość boską, co to jest?

– Moim zdaniem, jakaś nowa superbomba.

– Przecież podobna do zwierzęcia, nie do bomby! – zaproponował Kanciarz.

– O bionice słyszałeś? O inżynierii genetycznej słyszałeś? Ten twój potwór, to skrzyżowanie najgorszego, co stworzyła natura i wymyślili ludzie. Jak wybuchnie, za jednym zamachem zniszczy pół stanu.

– Ale skądże by się wzięła taka bomba na poboczu drogi? – słabym głosem zapytał Trzęsionka.

– Może jakiś samolot Air Force zgubił, co, czy się takie rzeczy, nie zdarzały?

– Bomba! Nie do wiary! – stęknął Trzęsionka.

– Wierzcie lub nie, to wasza sprawa. Co do mnie, zrywam się stąd czym prędzej i jak najdalej.

Zanim zdążyli się opamiętać, tylne światła jego wozu oddalały się już szybko w kierunku szosy numer 54.

– Mówiłem ci... mówiłem ci... – zaskomlał zdławionym głosem Tom.

– Mnie też to dręczyło, przecież to ja wyszukałem Profesora.

– Ja tu nie zostanę – zdecydował Tom. – Daj mi moją dołę, idę sobie.

– Dokąd?

– Wszystko jedno dokąd. Trzeba wiać, zanim jeszcze nie jest za późno.

– I wszystko zostawić?

– A co, mieć bombę na karku? Mówię ci, bierzmy forszę, pójdziemy na szosę, podłapiemy jakiś wóz i aby dalej stąd!

– Cholera, trzeba było zabrać się z Profesorem!

– Pojechał w kierunku Alamogordo; tam powinny być jakieś schrony przeciwatomowe.

– Mądrze! Zrobimy to samo.

Poszli z Carrizozo na południe. Ruchu nie było. Dopiero po pół godzinie marszu zobaczyli światła maszyny jadącej z przeciwnej strony, z kierunku Alamogordo. Reflektor

wyłuskał z ciemności ich postacie. Samochód zatrzymał się. Był to wóz policyjny. Otworzyły się drzwiczki, że środka wylał, nie spiesząc się, znajomy sierżant.

– Cóż to, chłopcy, na spacer o tak późnej porze?

Roggins wybąkał coś w rodzaju tłumaczenia.

– Chłopcy, tu jest coś około dwunastu gatunków zmij, a połowa z nich to krewni grzechotników. Brakuje mi tylko tego, aby was jakaś z nich ukąsiła. Nie chcę mieć na głowie ani was martwych, ani waszego wypchanego potwora. Siadajcie, zawiozę was do miasta.

Tej nocy nie spali już, a następnego ranka zwinęli interes i ruszyli dalej, kierując się na północny zachód.

– Mam nadzieję, że bomba nie wybuchnie wcześniej, niż o dwunastej w nocy. W dzień to świństwo wygląda zupełnie normalnie – zastanawiał się Bob. – Jeśli pozostawimy to w ciągu dnia gdzieś pomiędzy górami i odjedziemy ze sto mil, będziemy chyba bezpieczni.

– Tylko jedź ostrożnie – błagał Tom – kto wie, czy od jakiegoś wstrząsu coś tam się nie stanie.

– Święty Michale – modlił się Bob – zaopiekuj się nami biednymi, ocal nas od katastrofy, pozwól bezpiecznie pozostawić gdzieś potwora, ofiaruję ci trzy duże świece w twoim kościele w Socorro.

– Ja też – przytęczał się drżącym głosem Tom. – Wiesz co, nie będziemy chyba gada wyładowywać, pozostawimy razem z wozem, jak sądzisz?

– Naturalnie. Narażać się dla starej budy...!

Po kilkugodzinnej jeździe minęli Albuquerque i przystanęli za Bernallilo.

– Dobre miejsce na to, aby zostawić tego drania – orzekł Roggins. – Sporo zabytków, więc i sporo turystów, można się będzie z kimś zabrać.

Zanim jednak zdążyli się obejrzeć, pojawił się patrol policyjny.

– Nie miejsce na postój dla was – przestrzegł ich dowódca patrolu. – Spływajcie stąd natychmiast!

Kiedy znaleźli się za Bloomfield, przegonili

ich Nawajowie, których rezerwat znajduje się w pobliżu.

Pojechali zatem przez Shiprock w kierunku Durango. Nie mogli jednak pozbyć się kłopotliwej własności, gdyż akurat w tych okolicach działała ekipa filmowa.

W pobliżu Cortez, w Colorado, wpadli w oko jakiemuś patrolowi policyjnemu, zapewne za przekroczenie lokalnych przepisów drogowych; z trudem uratowali się, przejeżdżając przez granicę stanu. Przystanęli przed Monticello, gdy jak spod ziemi pojawił się znów patrol.

– No, chłopcy – rzucił niedbale kolejny sierżant – nic tu po was. Jeśli zobaczę was gdziekolwiek w promieniu 50 mil, do końca życia nie przestaniecie żałować, żeście się tu w ogóle pojawili.

– Poddaję się – jęknął Bob ruszając – gdzie jest najbliższa baza wojskowa? Pojedziemy do nich i zgłosimy bombę; niech robią, co chcą.

– Dwadzieścia lat za próbę wykradzenia tajemnic wojskowych – mruknął Tom.

– Lepsze to, niż wylecieć w powietrze tak, żeby nawet twoich szczątków nie znaleźli.

– Wiesz co? – zaproponował Tom – a może odwiedzić go tam, skąd go wzięliśmy?

* * *

Wielka sala konferencyjna wypełniona była po brzegi. Na podium, przed zgromadzonymi, leżał potwór. Pod ścianą stał prelegent.

Lampy przygasły. Cielsko potwora zaczęło się świecić i jednocześnie zabrzmiał sygnał dźwiękowy towarzyszący pokazowi. W przestrzeni nad potworem zaczęły się ukazywać twarze widzów z Kingman, z Williams, z Payson, ze Springerville, z tych wszystkich małych miasteczek Arizony i Nowego Meksyku, w których Roggins i Bradey organizowali swoje spektakle.

– To sprawozdanie zbiorcze – komentował prelegent. – Nasz moduł transmisyjny sprawdził się w pełni. Proszę zwrócić uwagę na doskonałą trójwymiarowość...

Wywołane teraz z przestrzeni postacie mieszkańców odległego Carrizozo spoglądały w dół z ciekawością i grozą. Były to dzieci i byli dorośli, smagli potomkowie tych z Południa i potomkowie tych z Północy o jasnej karnacji skóry, byli Indianie, Murzyni i nawet Chińczycy.

– Jak widać – kontynuował prelegent – zarówno ostrość odtworzonych obrazów, jak i barwy są nienaganne. Możemy zauważyć wszystkie szczegóły rysów twarzy tych ludzi; o, proszę, jak odmienne jest ustawienie oczu, szerokie i wąskie, skośne i proste, jak różne u poszczególnych osób są kości policzkowe, jak odmienne są nosy. Możemy także zauważyć odmienność i zróżnicowanie koloru skóry: od bieli do czerni, od czerni do żółci. Dzięki temu możemy być prawie pewni, że naszych wysłanników nikt tam nie rozpozna. Chyba, że...

Tu podniósł rękę i rozczapierzył dłoń.

– ...chyba że po błonie pomiędzy palcami.

